

# ISRAEL AGUILAR

Gdy wysiadłem z rozklekotanej półciężarówki, czułem się jak nakrochmalony. W ustach miałem smak kurzu, dudnienie w uszach, otepienie w mózgu. Od pięciu godzin kierowca opowiadał mi o swoich dzieciach, nie zważając na to, że z trudem rozumiałem ledwie pojedyncze słowa. Opowieść przerywał tylko po to, by pociągnąć łyk piwa, śmiał się co chwila i dotykając brzuchem kierownicy poruszał rytmicznie biodrami, jak gdyby ilustrował ten podniosły moment, w którym został ojcem.

Na szczęście tutaj, na skrzyżowaniu w Santa Felicitas, nasze drogi rozdzielały się. On skręcał na zachód, w kierunku Rancho La Esmeralda, ja zamierzałem jechać dalej, na południe, do Heroica Caborca. Pozostało mi osiemdziesiąt kilometrów, lecz zbliżał się wieczór, więc zdecydowałem się nie kusić losu i przenocować w jakimś tanim hoteliku. Zapraszał mnie wprawdzie do swojego domu, lecz nie było mi po drodze, a ponadto perspektywa spędzenia nocy w jednej izbie z liczną rodziną nie napawała mnie entuzjazmem. Uścisnęliśmy sobie dłonie i z hukiem zatrzęsnałem ciężkie drzwi. Wystawił rękę za okno i kilka razy pociągnął za nieistniejący łańcuszek powietrznego klaksonu; zakręciły się w miejscu tylne koła i szybko odjechał. Do miasteczka było nie więcej niż kilometr, u podnóża niewysokich gór czerwieniły się w zachodzącym słońcu dachy parterowych chat i jednopiętrowych domków. Ruszyłem skrajem szosy przecinającej pustynny płaskowyż.

Santa Felicitas nie różniło się niczym szczególnym od innych miast, przez które w ciągu ostatnich kilku dni przejeżdżałem. Biedne, zniszczone, zapyziałe, uśpione od rana do wieczora w jednokiej monotonii. Gliniane chaty wielkości dużego garażu, przyklejone do siebie bocznymi murami, knajpa z tarasem, barak policji, kościół z dzwonnica na szczycie, parę wyboistych ulic, na środku których dzieci grały w szmacianą piłkę, i nieliczne przedpotopowe auta. Co prawda jak najbardziej pasowałem do tej scenerii - nieogolony, z włosami upudrowanymi piaskiem i kurzem, w zszarzałych od brudu dżinsach, z drelichową torbą amerykańskich marines, w której skryłem cały mój majątek. Od tutejszych mężczyzn różniłem się tylko tym, że nie miałem czarnego wąsika, sombrero i białych kamaszy z mosiężnymi okuciami.

Hotel znajdował się na zapleczu knajpy - długi pawilon o płaskim dachu, z drzwiami do pokoi zamykanymi na kłódkę. Recepcja mieściła się w barze. Gdy stanąłem przy ladzie, powitał mnie tubalnym głosem człowiek sprawiający wrażenie właściciela. Miał długopis zatknięty za uchem, białą koszulę, rozpiętą do połowy brzucha, pod którą czernił się owłosiony tors, i krótkie, tłuste palce, którymi wystukiwał jakąś sobie tylko znaną melodię. Nie musiałem tłumaczyć, z czym przychodzę. Od razu domyślił się, że jestem amerykańskim turystą i ponieważ nie znał angielskiego, krzyknął coś do jednego z gości, po czym bez słowa postawił przede mną butelkę budweissera.

- Jestem Israel Aguilar - uśmiechnął się zawezwany mężczyzna. Mówił płynną angielszczyzną, imitując kalifornijską intonację. Mógł mieć trzydzieści lat, był raczej niski i toporny, raczej muskularny niż gruby. Miał złoty ząb i czarny wąsik starannie przystrzyżony

w kącikach ust. Ostatni raz rozmawiałem po angielsku w Tijuanie, im dalej na południe, tym mniej spotyka się turystów - ucieszył mnie dźwięk znajomych słów. Przedstawiłem się i podałem mu dłoń. Ucisnął ją po męsku, bardzo po męsku. Oparł się łokciem o kontuar i przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, pocierając dłonią króciutką szczecinę na twarzy, po czym powiedział, jakby z cieniem wyrzutu w głosie:

- Nie jesteś Amerykaninem.

- Jestem Polakiem.

- Polish, Polish... - zastanowił się głośno, na próżno usiłując przypomnieć sobie znaczenie tego słowa. Po chwili stwierdził z dość dużą pewnością: - To nie jest w Łacińskiej Ameryce. No tak, nie mówisz po hiszpańsku.

- Polska to małe państwo w Europie, między Szwecją a Niemcami, volvo, mercedes.

- Ach, Polska! Trzeba było tak od razu! - ucieszył się wyraźnie. - Papa Polacco, papież-Polak! Jose, Jose! - zwrócił się do ciągle stojącego naprzeciwko barmana i w paru słowach wyjaśnił, kim jestem.

Jose poderwał się, oparł brzuch na ladzie i długo, po męsku potrząsał moją dłonią, a gdy skończył, podszedł do najbliższego regału i wyciągnął zeń duży, oprawiony w złoczone ramy obraz papieża na placu Świętego Piotra. Stuknęliśmy się szyjkami butelek. Jose zasypał mnie pytaniami, które tłumaczył Israel. Nie, nie znam papieża osobiście. Matka Teresa z Kalkuty nie jest Polką, jest albańską Cyganką. Kalkuta nie leży w Polsce. W pewnej chwili zauważyłem, że Israel nie tłumaczył wszystkich pytań i momentami strofował ukradkiem Jose, w każdym razie robił minę na przemian groźną i zawstydzoną, po czym uśmiechał się do mnie niczym Judasz. Uwierały mnie buty i kleiła się do pleców koszula. Krótkimi łykami opróżniłem butelkę i poprosiłem Jose, by pokazał mi pokój.

- W żadnym wypadku - zaprotestował Israel nie tłumacząc mojej prośby. - Dzisiaj jesteś moim gościem.

Jose podał mi drugą butelkę, tym razem coronę. Patrzył na mnie nieomal z podziwem, szkoda tylko, że nie znam hiszpańskiego, tak jak papież. Po hiszpańsku powinni mówić wszyscy ludzie na całym świecie, to bardzo piękny język. Zaintonował jakąś ludową piosenkę, zapewne tę samą, którą wcześniej wystukiwał palcami. Odwiodło go od nas dopiero pojawienie się w sali nowego gościa. Israel, wzięwszy swoją butelkę w jedną rękę i moją torbę w drugą, poprowadził mnie do wyjścia.

- Mieszkam za miastem, tam, na wzgórzu - wskazał palcem kierunek, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

Niebo na wschodzie było już granatowe, pojawiły się pierwsze gwiazdy. Doszliśmy do półciężarówki zaparkowanej naprzeciwko komisariatu policji. Był to cztero-, może pięcioletni ford wiśniowego koloru, z ogromnymi kołami na aluminiowych, ozdobnych felgach. Wśród półwiecznych chevroletów prezentował się okazale i widać był oczkiem w głowie właściciela, bo nie brakowało na nim przeróżnych ozdóbek, do maski przytwierdzona była miniaturowa głowa byka o nieproporcjonalnie wielkich rogach. Israel rzucił moją torbę na skrzynię i pilotem odblokował zamki. Podwójny dźwięk piknięcia alarmu bardzo mu się spodobał, spojrzał na mnie, jakby chciał się przekonać, czy aby na pewno słyszałem. Odjechaliśmy.

Po drodze wywiązała się rozmowa. Okazało się, że Israel mieszkał w Los Angeles dwanaście lat, stąd tak dobrze znał język angielski. Urodził się tutaj, jego ojciec miał małą farmę za miastem, lecz dzieci było wiele, ojciec zmarł przedwcześnie i Israel, skończywszy

zaledwie trzynaście lat, przekradł się przez granicę, niedaleko od Coyote Wells.

- W Santa Felicitas jestem najbogatszy, nie ma takiego drugiego! - powiedział radośnie. - Zbudowałem hacjendę, odkupiłem farmę po ojcu, dałem pracę ludziom. Rozumiesz? Jestem bogaty. Dwanaście lat kosiłem trawę u Jankesów. Dwanaście lat! - zamilkł na dłuższą chwilę, przytknął butelkę do ust, po czym cisnął ją przez okno. - Coś ci powiem - pochylił się niespodziewanie i zacisnął palce na moim przedramieniu. Czuję w mroku, że zajrzał mi głęboko w oczy. - Zapamiętaj to raz na zawsze: Kalifornia, Newada, Kolorado, Nowy Meksyk, Teksas - wymieniał te nazwy z twardym hiszpańskim akcentem - należą do Stanów Zjednoczonych Meksyku! Zawsze należały, rozumiesz? Zawsze! Meksyk jest w Ameryce! Prawdziwymi Amerykanami są Meksykanie. Los Angeles, Las Vegas, San Francisco, San Jose, El Sinõre, Santa Ana, Santa Fe... Rozumiesz? „Colorado” znaczy po hiszpańsku „kolorowy”, „texas” po indiańsku „dachówka”. Jankesi ukradli nam ziemię, ale nazwy zostały. Meksyk jest największym państwem w Ameryce!

- Sądziłem, że wasz rząd sprzedał kiedyś te ziemie.

- Nie wierz w to! To był spisek, spisek przeciwko mojemu narodowi! Meksyk był kiedyś bogaty. I jeszcze będzie, zobaczysz. Honduras, Panama, Gwadelupa, Wenezuela... - znów wymieniał te nazwy z hiszpańskim akcentem. - Latynosi kiedyś zjednoczą się i zniszczą Jankesów. A wtedy Jankesi u nas będą kosić trawę!

- Nie obraż się, ale trudno to sobie wyobrazić. Meksyk to raczej biedny kraj. Wiesz, ja patrzę z boku, nie jestem ani po waszej, ani po ich stronie.

- Biedny, prawda. Dlatego wróciłem. Wszyscy powinni wrócić. Wyjechać, dorobić się i wrócić!

- Nie czujesz jakiejś wdzięczności, że wygrałeś los na loterii, że... wiesz, gdyby nie ci Jankesi, u których pracowałeś...

- Pracowałem? - przerwał mi w pół słowa. - Harowałem jak muł, paznokciami ryłem ziemię! To wyzysk. Jankesi krzyczą, że Meksykanie odbierają im pracę, że nielegalnie przechodzą granicę, tak i siak! Nieprawda! Cieszą się, że płacą nam jakieś złodziejskie stawki. Ale koniec! Nigdy więcej! Teraz jestem bogaty. Ach, żeby to ojciec widział...

- Jak umarł?

- Co, jak umarł? Umarł. Przewrócił się i umarł. Na polu. Nie wrócił do domu, ludzie znaleźli go dopiero nazajutrz. To był bardzo pracowity człowiek... Słuchaj, czy mógłbyś dać mi swoje piwo? - zapytał nagle, wyciągając jednocześnie rękę. Bez słowa podałem mu butelkę. Przyłożył ją do ust, po czym kontynuował: - Nie wiem, jak u was, ale u nas praca na roli jest ciężka, ciężka. Pamiętam, jak ojciec wycinał grube gałęzie, zaostrzał końce, sadzał mnie na nich dla obciążenia i orał pole. Nie miał nawet muła. Byliśmy biedni. Tam, gdzie stoi hacjenda, kiedyś była glinianka. Jedna izba bez okien, ojciec, matka i nas pięcioro. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem, dostawaliśmy jeść, zawsze gotowane banany pastewne. Nie brakło tylko mleka i masła, mieliśmy kozę, ale mąki na tortilla zawsze brakowało. Wiesz, kiedy dostałem pierwsze buty? Jak poszedłem do szkoły, ojciec mi je zrobił. Zelówka ze starej opony, reszta z jutowego worka, związane sznurkiem... - zamyślił się.

Zapaliłem papierosa.

- Gdy wróciłem ze Stanów, musiałem spłacić długi matki. Nie miała z czego żyć. Pożyczała i pożyczała, kobiety nie myślą głową. W końcu zabrali jej farmę, poszła utopić się w rzece. Jutro pokażę ci groby, teraz za ciemno, nic nie widać... Pokażę ci pole, pięć razy takie! Wykarczowałem kawał lasu, trzy lata pracowałem jak muł, ale teraz nic już nie robię. Mam robotników na stałe i dochodzących. Płacę im tyle dniówki, co w Los Angeles kosztuje paczka papierosów... - przerwał na chwilę - ...no takie są warunki, nikt więcej nie płaci.

Krowy mam, świnię, kury, kaczkę, wszystko! Jutro zobaczysz. Senór Israel Aguilar! Wiesz, co po hiszpańsku znaczy „aguilar”? „Orli”. Jestem jak orzeł, król wszystkich ptaków! Znają mnie wszyscy od Rancho La Esmeralda do Heroica Caborca. Ludzie schodzą mi z drogi. „Senór Israel jedzie!”, krzyczą. „Senór Israel to”, „Senór Israel tamto”, kapelusze zdejmują, patronem jestem. A jak na zabawę idę... Ech, najładniejsze dziewczyny za mną patrzą! Niejedna już fikała w fordzie nóżkami. Czasem to któreś kupię jakiś fatałaszek, koraliki, świecidełka. Łaszą się jak hieny do kości. Co prawda Pan Bóg dał mi przyrodzenie, nie powiem, że był skąpy, podoba im się ten mój majsterkowicz - zarechotał nerwowo. - „Macho Israel”, tak do siebie szeptają, gdy przechodzę mimo, słyszałem - obaj buchnęliśmy śmiechem.

Ubita kamienista droga wspinała się po zboczu, silnik mrucał bez najmniejszego wysiłku. W świetle reflektorów pojawiały się czasem głębokie wyżłobienia w drodze, wymyte podczas niedawnej ulewy. Israel z lekkością obracał kierownicą, omijając dziury. W pewnej chwili droga wcisnęła się w ścianę zieleni, która po obu stronach gęstniała z każdym metrem i zasklepiała się tuż nad nami, tworząc wąski niski tunel. Na jego krańcu znajdowała się polana, na polanie parterowy różowy budynek, z którego nie zasłoniętych okien dobywało się światło. Zatrzymaliśmy się przed zadaszoną werandą. Na progu pojawiła się młoda kobieta o niezbyt inteligentnym wyrazie twarzy. Na ręku trzymała może dwuletnie dziecko. Podbiegła do nas mała dziewczynka.

- Papa, papa, papa! - krzyczała radośnie wieszając się Israelowi na szyi. Wziął ją na ręce i pocałował w czoło.

- Clara, Clarita! To moja mała Amerykanka, urodziła się w szpitalu. A to mój syn - wziął dziecko z rąk kobiety. - Luis Aguilar y Costario, przyszły patron, na razie Luisito - potarmonął gęste czarne włosy na główce.

Uśmiechnąłem się do kobiety chcąc się przywitać, lecz pośpiesznie spuściła wzrok i usunęła się w cień. Israel nie zwrócił na nią uwagi. Weszliśmy do środka.

Był to ogromny pokój, właściwie hall wsparty na dwu kolumnach. Prowadziły zeń drzwi do pozostałych pomieszczeń. Pośrodku leżała na podłodze kolorowa mata, na której walały się zabawki dzieci, pod ścianą stała ogromna kanapa ze zniszczonej skóry, obok dwa fotele pochodzące z różnych kompletów i równie odmienny stolik o kamiennym blacie.

Israel poprowadził mnie do sieni, skąd łukowym otworem w ścianie przechodziło się do kuchni, z kuchni do spiżarni i obok do pralni, z pralni na zewnątrz domu. Wszędzie panował spory nieład i niewyobrażalny brud, jak również kłębił się dość osobliwy, trochę duszący zapach oddechu konia.

Trzy pokoje sypialne były całkowicie puste, natomiast czwarty, największy, przedstawiał widok rzadko spotykany. Stało w nim wielkie stare łóżko, na którym leżały sterty odzieży, obok łóżeczko dziecięce, wypełnione po brzeg pudełkami, wysoka, dwudrzwiowa szafa, na niej jakieś kartony, a pośród nich nowoczesny, czternastocalowy telewizor z teleskopową antenką. Jednak dopiero widok łazienki okazał się prawdziwie oryginalny: stała tam czarna wanna, czarna od przyschniętego brudu. Na dnie kleiły się skłębione włosy: długie, krótkie, proste, łonowe, dziecięce i dorosłych, równo jak sierść orangutana. Na podłodze, tuż obok wanny bieleło czyste kółko, raczej owal, najpewniej wymyty mokrymi stopami. Nad drzwiami, tak jak nad wszystkimi drzwiami, wisiał krzyż, na ścianie obraz Jezusa, tania reprodukcja najbardziej tandetnego malowidła, jakie można kupić na wiejskich jarmarkach. Mieszkałem już w rozmaitych warunkach, lecz ten dom napełniał mnie nieodpartym

obrzydzeniem. Nagle pożałowałem, że zgodziłem się spędzić tu noc.

- No i co, podoba ci się u mnie? - zapytał Israel, gdy skończyliśmy obchód.

Usiadłem w fotelu. Z kuchni dobiegały odgłosy naczyń, kobieta przyrządzała kolację. Israel usiadł na drugim fotelu i przepędził dzieci, które próbowały wspiać się na jego kolana.

Uśmiechnąłem się jakoś głupawo. Nastąpiło nieznośne milczenie, które przedłużało się coraz bardziej. Na szczęście, po chwili weszła do hallu kobieta, wnosząc drewnianą miskę wypełnioną parującą brunatną masą. Postawiła ją na ławie, dygnęła jak uczennica i wyszła.

- Burrito, lubisz meksykańskie potrawy?

Skinałem głową. Smak burrito poznałem w Kalifornii, był to rodzaj gulaszu, dość pikantny, jak zresztą wszystkie potrawy meksykańskiej kuchni, lecz cóż, w Kalifornii żywiłem się w barach, które podlegały określonym wymogom higieny: burrito w tym domu mogło być bolesną niespodzianką.

Israel wyszedł do kuchni i wrócił wkrótce przynosząc dzbanek i szklanki.

- Nie ma to jak domowe piwo - napelnił szklanki i trąciliśmy się krawędziami.

Piwo było niezłe, pomyślałem, że pod wpływem alkoholu łatwiej zniosę niewygodę tej nocy.

Na ławie stopniowo pojawiły się talerze, łyżki i pokaźna kupka placków tortilla. Kobieta usiadła z dziećmi na kanapie. Israel złożył dłonie do modlitwy, dając przykład pozostałym, po czym zaczęła się kolacja.

W pewnej chwili wstrzymałem oddech i spojrzałem na kobietę, gdyż siedziała najbliżej.

Wpatrywała się w ścianę, jej twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. W powietrzu rozpląnął się ohydny, słodki zapach gazu organicznego. Widocznie fala dotarła także do Israela, bo ni stąd, ni zowąd zaczął krzyczeć. Nie rozumiałem ani jednego słowa, więc patrzyłem tylko na złość malującą się w jego oczach i na błyskający w ustach złoty ząb.

Kobieta odpowiedziała cichym zdaniem, z którego zrozumiałem tylko imię Luisito. Lecz to jeszcze bardziej rozwścieczyło Israela, gdyż krzyknął jeszcze głośniejszym głosem. Kobieta odpowiedziała krótko, tym razem zrozumiałem słowo Clarita. Wreszcie oboje spojrzeli na mnie i Israel uśmiechnął się sztucznie, próbując ukryć zmieszanie.

- Ach, te kobiety, kara boska - powiedział, miażdżąc w zębach kawałek placka, po czym widocznie uznał tę wypowiedź za nie zadawalającą, gdyż dodał: - Pikantne jedzenie poprawia trawienie - zaśmiał się krótko, lecz zaraz zamilkł, zapewne żałując, że to powiedział.

Po kolacji wyszliśmy na taras, gdzie usiedliśmy przy małym stoliku. Była piękna, ciepła noc, alkohol rozmywał zmysły. Miałem za sobą długi, wyczerpujący dzień podróży, więc marzyłem o łóżku, lecz Israel zdawał się o tym nie myśleć, znalazł kompana do dyskusji. Właściwie słuchacza.

Z jego opowiadań z wolna wyłaniał się obraz człowieka, jego charakter i osobowość.

Zastanawiałem się, czy był to typowy wizerunek mężczyzny w tym kraju czy też Israel różnił się od miejscowych mężczyzn. W zasadzie wieloletnie życie w obcym kraju, zwłaszcza w tak młodym wieku, zmienia ludzi nie do poznania. Przystawiają oni sobie nowe obyczaje i mentalność, stają się, pół na pół, kimś zupełnie innym, niż byli. Aczkolwiek wyglądało na to, że Israel ustrzegł się tych zmian.

Pił teraz szybko, jakby chciał nadrobić zaległości dnia, stawał się coraz bardziej rozmowny i otwarty. Co pewien czas wołał kobietę, która w milczeniu wykonywała polecenia:

uzupełniała zawartość dzbanka, przynosiła placki i krążki suszonych bananów. Przyniosła

też opasły album zdjęć.

- To jest Sancho, mój kuzyn - Israel wskazał fotografię uśmiechniętego młodzieńca. - Mieszkał tutaj, w Santa Felicitas, ale musiał uciekać, bo zabił kobietę. Mieszka teraz w Utah. Nie chciał zabić, zdenerwował się. Każdy by się zdenerwował.

Wiedziałem, że meksykańscy mężczyźni są dość zazdrośni i konserwatywni w stosunku do kobiet. Sądziłem, że kuzyn zamordował po prostu żonę, zresztą to właśnie przypuszczenie wyraziłem głośno. Lecz skądże, okazało się, że ofiarą była zupełnie przypadkowa turystka z Ameryki, która na ulicy w miasteczku wymusiła pierwszeństwo. Kuzyn stracił głowę i wbił jej nóż, tak niefortunnie, że akurat w samo serce. Później zaklinał się, że nie celował, lecz nic dziwnego, mistrzowska ręka nigdy go nie zdradziła. Zniknął zaraz i nigdy więcej nie wrócił. Ale wróci. Wrócą wszyscy.

- Masz ładne dzieci, tylko dwoje?

Israel parsknął śmiechem.

- Dwoje? Dwoje? - próbował się opanować. - Dwoje to ja mam z tą krową. To moja trzecia żona. Zobacz - zaczął przekładać karty albumu - zobacz, to była moja prawdziwa żona, pierwsza.

Spojrzałem na fotografię, na której uśmiechała się urocza dziewczęca buzia.

- Raczej mogłaby być twoją córką niż żoną.

Opowiedział mi historię swojego nieudanego małżeństwa, z której wynikało, że przyjechał kiedyś na wakacje do Meksyku, dziewczynka zakochała się w nim, więc choć tak naprawdę nie chciał, zgwałcił ją i następnie, aby uniknąć rodzinnej wendetty, porwał ją do Ameryki. Nie chciała jednak z nim być, nie chciała iść do pracy, choć załatwił jej sprzątanie u Jankesów, płakała ciągle, że chce do domu, to ją w końcu odesłał, gdyż ma ludzkie serce, i nawet nie pobił, choć zasłużyła. Córkę urodziła już w Meksyku. Tak naprawdę to ją kochał i myślał nawet, żeby ją odebrać, ale kto wie, jaką teraz ma przeszłość. Mieszka wprawdzie z matką, ale na pewno miała już stosunek z innym mężczyzną. Śmiałoby się z niego całe miasto, gdyby ją wziął.

Potem poznał tę drugą, w Los Angeles. Ślub wzięli normalnie, w kościele, urodziła mu trzy córki, rok po roku, ale zbrzydła, jadła tylko i tyła, leniwa do tego, całymi dniami tylko telewizja i muzyka Banda Machos. Zostawił ją w końcu, bo chciał mieć syna. No i ma... z tą krową. Chyba był pijany, jak ją brał.

To ostatnie opowiadanie widocznie przywiodło mu na pamięć najgorsze wspomnienia, bo zrobił się niespokojny. Mimowolnie pomyślałem o swoim bezpieczeństwie.

- Całe jej szczęście, że dała mi Luisito!

Wróciliśmy do oglądania zdjęć. Israel komentował niektóre i wyjaśniał, w jakich okolicznościach zostały zrobione. Przeważnie były to zbiorowe zdjęcia na rodzinnych uroczystościach - młode, nieco otyłe, lecz urodziwe kobiety o kruczoczarnych włosach, otoczone gromadą ślicznych dzieci i paradą podobnych do siebie jak bracia mężczyzn z jednakowymi wąsikami. Wszyscy byli czysto i estetycznie ubrani, zupełnie inni niż ci, których spotykałem od kilku dni podczas mojej podróży. Tylko obecna żona Israela, która także widniała na niektórych fotografiach, rzeczywiście była wyjątkowo szpetna i na domiar złego miała ten bezmyślny wyraz twarzy, który wyróżniał ją spośród pozostałych osób. Większość zdjęć zrobiona była w Ameryce. W Los Angeles mieszkałem tylko pół roku, słabo znałem to miasto, lecz rozpoznawałem typowe kalifornijskie widoki, architekturę, zadbane trawniki, czystość południowych dzielnic, porządek, nowoczesność, znajome

nazwy sklepów. Zateśkniałem za normalnością. Meksyk, choć niezwykle egzotyczny, wydał mi się teraz dość koszmarnym snem, który mógłby się już skończyć. Być może, gdybym mieszkał w pięciogwiazdkowym hotelu w Acapulco de Juarez, moje wrażenia byłyby korzystniejsze, lecz fakt pozostawał faktem: nie mieszkałem w kurorcie i nawet nie mogłem marzyć o tym, by wykapać się pod normalnym prysznicem i położyć w świeżo poślanym łóżku. Byłem biedny jak wszyscy ci ludzie, choć ponoć północ Meksyku jest najbogatsza.

Przy okazji tych rozmyślań przypomniałem sobie, że zupełnie zapomniałem umyć się przed kolacją i przebrać w czystą odzież. Wspomniałem o tym Israelowi. Wstał i przyniósł z samochodu moją torbę, po czym pokazał mi wolną sypialnię.

- Przyniosę ci siennik - rzucił szybko i zanim zdążyłem zaprotestować, obawiając się mieszkańców owego siennika, zniknął w głębi domu.

Wyjąłem z torby niezbędne przybory, czystą bieliznę, odzież i poszedłem do łazienki. W hallu minąłem kobietę, uśmiechnąłem się do niej przyjaźnie, lecz zachowała się podobnie jak poprzednim razem. W łazience zastanawiałem się przez chwilę, w jaki sposób umyć się, aby się nie pobrudzić. W istocie było to interesujące. Mógłbym wykapać się w wannie, lecz musiałbym opróżnić ją z sierści, a także oskrobać z kożucha zaschniętego mydła i złuszczonej skóry. Umycie nóg także stanowiło kłopot, gdyż straciwszy równowagę, mógłbym bosą stopą stanąć na podłodze, a wtedy mycie straciłoby sens. Ostatecznie zadowolilem się małym zlewem, nad którym doprowadziłem się do względnego porządku, po czym przebrałem się i wróciłem do sypialni.

Na podłodze pod ścianą leżał jednoosobowy materac obsyty jutą. Miałem w torbie śpiwór i piankową matę, więc mogłem przespać się obok materaca. W każdym razie byłem gotowy do snu. Poszedłem na taras, by pożegnać się z Israeliem.

- Jeszcze za wcześnie - stwierdził bez wahania i nalał mi kolejną szklanekę piwa. Usiadłem.

Opowiedział mi wtedy o śmierci swego najmłodszego brata, lecz zanim dowiedziałem się, w jakich okolicznościach brat umarł, nagle w domu rozległ się przeraźliwy krzyk, który natychmiast odbił się echem wśród cichej nocy, po czym na próg wybiegła żona Israela. W oczach miała strach, z szeroko otwartych ust wrywał się szloch i jakieś nie wyartykułowane dźwięki. Jej twarz skuliła się w grymasie potwornego bólu, co sprawiło, że wyglądała jeszcze szpetniej niż przedtem. Z pewnością próbowała coś powiedzieć, lecz panika zatkała jej krtań. Jeszcze chwila i parsknąłbym śmiechem, tak komiczna wydała się ta postać. Lecz oto u jej spódnicy pojawiła się Clarita, w dziecięcych oczach rysowało się to samo przerażenie. W domu musiała wydarzyć się jakaś potworna tragedia.

W tym momencie Israel poderwał się tak gwałtownie, że przewrócił stół i krzesło, brzęknęło szkło. Jednym skokiem dobiegł do żony i pochwytywszy jej ramiona swymi silnymi rękami, zaczął targać całym ciałem. Głowa przemieszczała się bezwładnie na wiotkiej szyi, zdawało się, że zaraz odpadnie, pacnie o podłogę i poturla się w trawę. Trwało to parę sekund, tylko tyle, by zebrać myśli.

Spojrzałem na Claritę. Sparaliżowana strachem, milcząco wlepiła oczy w rodziców. Nie było Luisito! Poderwałem się i potrącając na progu dziewczynkę, wbiegłem do domu. Tuż za mną wpadł Israel, za nim żona. Chłopca nie było ani w hallu, ani w kuchni. Israel wskoczył najpierw do pralni, potem do spiżarni, po czym krzyknął coś do żony, ta zaniósła się płaczem. Z całej siły uderzył ją w twarz, potoczyła się na ścianę i upadła na podłogę. Israel wybiegł do hallu i zniknął w dużej sypialni.

Gdy sekundę później stanąłem w drzwiach, trzymał Luisito na rękach. Chłopiec miał zamknięte oczy, był przezroczysty na buzi, nie poruszał się, bezwładnie zwisały jego rączki i nóżki. Israel potrząsał synkiem i wołał żonę. Ta krzyczała z oddali, lecz nie od razu weszła do pokoju.

Nagle odwrócił dziecko na brzuszek i zaczął uderzać dłonią w plecki. W tej chwili zauważyłem rozsypane na podłodze krążki suszonych bananów. Wszystko stało się jasne. Israel nieprzerwanie uderzał dłonią. Pod wpływem wstrząsów wypadł z ust kawałek banana. Położył ciało na podłodze, pochylił się nad nim i zatkawszy nosk palcami, zaczął właczać ustami powietrze do płuc. Po paru chwilach Luisito poruszył się, otworzył oczy i zaniósł się żalonym płaczem, buzia nabrała rumieńców. Israel przytulił dziecko i długo bujał nim, klęcząc na podłodze. Płakał, płakał bezgłośnie. Spojrzałem na jego żonę, stała w progu pokoju nieprzytomna z przerażenia. Do jej uda tuliła główkę Clarita.

Chwilę później stało się to, co musiało nastąpić. Israel uniósł głowę i przeszył wzrokiem żonę. Jego twarz przebiegł prąd rozjuszonej nienawiści. Kobieta nie zdążyła nawet drgnąć, gdy dopadł ją i ciosem pięści w sam środek twarzy powalił na podłogę. Trysnęła krew. Swymi białymi butami o mosiężnych okuciacz zaczął kopać nieruchome ciało. Krzyczał, wył właściwie, krzyczała kobieta, krzyczała Clarita, płakał Luisito. Trwało to parę chwil, oprzytomniałem i rzuciłem się na Israela. Impet odepchnął go na dziecięce łóżeczko. Podniósł się, doskoczył do mnie i zamierzył się do ciosu, lecz w ostatniej chwili powstrzymał pięść, sapał, miał dzikie oczy.

- Nie wtrącaj się! - wycedził i odwrócił się w stronę żony. Lecz nie było jej w pokoju. Korzystając z zamieszania poderwała się i uciekła. Rzucił się za nią do hallu, lecz była już w kuchni, po czym znikła w pralni i wybiegła na zewnątrz domu, gdzie chroniła ją ciemność.

Israel zawrócił, wskoczył do sypialni i po chwili wybiegł trzymając w dłoni rewolwer. Wrzeszczał jak zwierzę. Zagroziłem mu drogę swoim ciałem, lecz odepchnął mnie i pobiegł za żoną. Rozległ się huk wystrzałów. W tej chwili znalazłem się na zewnątrz i po raz pierwszy pomyślałem o sobie.

O dwa kroki stał przede mną upiór, człowiek psychicznie chory, może wytwór jakiegoś pokręconego kultu mężczyzny, może wariat, w każdym razie śmiertelnie niebezpieczny. Stał w ciemności i wymachiwał rewolwerem, krzycząc jakieś hiszpańskie przekleństwa, może wołał Boga na pomoc, może ojca, może brata, może jedyne synka, przyszłego patrona tego domu.

Bąłem się poruszyć i odezwać. Było jasne, że nie wymierzył sprawiedliwości żonie, nienawiść i złość za to, że nie spełniła się jego męska wola, mógł teraz skierować na mnie. Sprzeciwiłem się patronowi w jego własnym domu! Kto wie, jaką karę powinienem ponieść!

Zamilkł nagle, odwrócił się wolno i spojrzał na mnie zamglonym wzrokiem. Spodziewałem się wszystkiego, lecz opuścił ręce i cicho, tak cicho, że ledwie dosłyszałem, powiedział:

- Przepraszam, że uniosłem się w twojej obecności.

Wyminął mnie i wszedł do domu. Uszło ze mnie życie. Postanowiłem wracać natychmiast do Stanów, teraz, w środku nocy, dość już miałem Meksyku.



Wszedłem do domu i udałem się do sypialni, by spakować torbę. Na sienniku siedziała skulona Clarita, patrzyła na mnie prosząco, jakby wiedziała, co zamierzam. Przytuliłem ją myśląc o jej matce. Może leży gdzieś niedaleko, może jest ranna, potrzebuje pomocy, może nie żyje? Bałem się o nią, lecz również o siebie, ten człowiek był niepoczytalny. Zmagalem się z myślami, nie mogłem tak po prostu odejść, nie wiadomo, co jeszcze się wydarzy. Nigdy dotąd nie znalazłem się w tak niebezpiecznej sytuacji, nie jestem bohaterem, mam żonę i dziecko, którzy gdzieś, w innym kraju, w normalnym świecie czekają, gdy wrócę do domu. Tutaj też jest dziecko, tuli się do mnie, zagubione we własnym domu, drżące ze strachu. Jak bardzo różni się to malutkie dziewczęce życie od bez troski mojego dziecka? Kim będzie w przyszłości zahukana Clarita, gdy wyrośnie na piękną, czarnowłosą Clare? Jaką będzie miała świadomość? Zgwałci ją jakiś macho z rozumem w penisie - będzie myślała, że tak trzeba. Porwie do Ameryki i będzie żądał syna, przyszłego macho, którego życie potoczy się wzorem ojca! Wedle Boga i świętej tradycji?

Wyszedłem z pokoju i odszukałem Israela na werandzie. Siedział przy stoliku, trzymając Luisito za rączki na kolanie.

- Mi amante, mi amante! - powtarzał naśladując kobiecy głos. Chłopczyk podskakiwał jak na koniku, uśmiechał się do ojca. - Luis, Luisito, mi amante.

- Wyjeżdżam, Isreal. Odwiedzisz mnie do miasteczka?

- El papa ama a Luisito - nie przerywał zabawy, lecz łypnął na mnie rozbieranym okiem. - Luisito, Luisito.

- To nie moja sprawa, ale może twoja żona potrzebuje pomocy. Powinieneś ją odnaleźć.

- Nic jej nie będzie - odpowiedział nie patrząc na mnie. - Strzelałem w powietrze, żeby ją nastraszyć. Wróci, zawsze wraca. Hop hop hop - potrząsał nogą. - Tutaj ma dzieci, prawda, Luisito, że mama wróci? Prawda, synku?

- Mimo wszystko powinieneś jej pomóc.

- Clarita! - zawołał groźnie.

Dziewczynka musiała stać tuż za progiem, bo pojawiła się w tej samej sekundzie.

Powiedział coś do niej, po czym zwrócił się do mnie:

- Zaraz ją przyprowadzi. One znają swoje kryjówki.

Rzeczywiście, po paru minutach rozległy się w domu kroki. Israel krzyknął, prawdopodobnie wydał kolejne polecenie - po raz pierwszy usłyszałem imię Margarita - bo po chwili kobieta wniosła dzbanek piwa i szklanki. Miała zaschniętą krew na twarzy i spuchnięty nos.

- Wybacz, ale nie chcę już więcej - powiedziałem zdecydowanie.

- Coś się tak obraził? Gościem jesteś! Gość w dom, Bóg w dom! Widziałeś, co ona zrobiła? Czy ty widziałeś, co ona zrobiła?! Dziecko by zmarnowała! Krowa, w mózg pierdolona! Miejsce kobiety jest przy dzieciach! Dupą myśli! Nie dopilnowała! Przysięgam na pamięć mojego ojca, że zabiłbym, jakby Luisito umarł - znów wzbierała w nim złość, miał tak samo dzikie oczy jak wtedy, gdy strzelał.

- Odwiedzisz mnie do miasta?

- Dlaczego? Noc jest. Chciałem ci pokazać farmę, rano wszystko ci pokażę. Zobacysz wszystko. Zobacysz, jak tu pięknie, teraz nic nie widać. Góry, jakie piękne góry mamy, groby pod lasem, ojciec, matka, brat... Pokażę ci. Wszystko ci pokażę...

Zostałem na noc. Przez jakiś czas siedzieliśmy jeszcze na werandzie, Israel pił piwo i opowiadał mi o swoim życiu, lecz niewiele zapamiętałem, nie umiałbym powtórzyć żadnej innej historii. Prawdę mówiąc nie chcę, gdyż wszystkie były chore w swym dziwactwie.

Przypadek mojego gospodarza nie był typowy dla mężczyzn w tej części świata, był ekstremalny, lecz niekoniecznie odosobniony. Spotkałem jeszcze wielu podobnych mężczyzn i wiele kobiet, nie tylko w Meksyku, którym ani przez moment nie przyszło do głowy, że można żyć inaczej.

Pożegnałem się z panem tego domu i zamknąłem w sypialni, kładąc się na podłodze tuż przy drzwiach, aby poczuć, gdyby się otwierały. Mimo zmęczenia długo nie mogłem zasnąć, wsłuchiwałem się w kroki za drzwiami, w głos Israela dochodzący z kuchni i w krótkie, ciche odpowiedzi Margarity. Sen niepostrzeżenie mieszał się z jawą, znikał, powracał, znowu znikał. Niebawem zgasło światło i nastąpiła zupełna cisza. Tylko w sąsiednim pokoju, jakby w odległym, nierealnym świecie, rytmicznie skrzypiały sprężyny starego łóżka.